Kiedy zniknął wróciłem na chwilę do przeszłości:

Wieczór, 6 października

Nakrętka z tandetnym brzękiem potoczyła się po podrapanej podłodze. Spojrzałem na nią mętnie, lecz nie znalazłem w sobie sił, aby schylić się i ją podnieść. Niech tam leży… W towarzystwie swych różnokolorowych krewnych. Nalałem przezroczystego płynu do kieliszka i wzniosłem niemy toast ku brudnym oknom, za którymi hulał wiatr rozbryzgujący strugi deszczu. Kieliszek przechyliłem jednym ruchem czując pieczenie w przełyku. Jeszcze chwila, aby pokonać odruch nieposłusznego żołądka i poszło…Może to rozgrzeje moją krew…

Kiedy jednak serce przepojone jest chłodem, to na nic takie grzanie. Gdy nie ma tam wewnętrznego ciepła, nic nie ogrzeje tętnic i żył. Serce mi biło miarowo i spokojnie, czułem tętno w szyi i wydawało się, że żyję… Lecz tak naprawdę byłem martwy. Tam w środku, gdzie już nie potrafiłem nawet litować się nad sobą.

Odstawiłem puste szkło i westchnąłem. To było ciężkie westchnienie przegranego człowieka. Nie byłem już taki jak dawnej.

Zastanowiłem się bez pośpiechu, czemu wybrałem zagładę na raty, a nie jedno proste rozwiązanie. Krótka chwila i wszystko znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różczki. Może tak właśnie powinno być. Może nie powinienem się męczyć i bezczynnie czekać na to, co w końcu musiało nadejść. Co zawsze czaiło się na końcu każdej drogi. Co cierpliwie czekało na nas przez trzydzieści, czterdzieści, a czasem siedemdziesiąt lat…

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem chłodnego metalu. Jakie to było kojące. Wreszcie cały mój los w moich rękach. Uniosłem ciężki pistolet i powoli, z sadystyczną wręcz rozkoszą wprowadziłem nabój do lufy. Potem wyjąłem magazynek i rzuciłem go za siebie. Upadł z metalicznym trzaskiem pod ścianą. Jeden pocisk musi mi wystarczyć. Nie byłem przecież złym strzelcem, a z takiej odległości nie spudłowałby nawet ślepiec.

Chłód metalu na skroni wyostrzył moje zmysły, a z głowy w jednej chwili wywietrzały alkoholowe opary. Z całą ostrością dostrzegłem swoje odbicie w szybach okien. Zobaczyłem żałosnego faceta siedzącego na fotelu z bronią przy głowie, który ma tyle sił, aby unieść pistolet, lecz jeszcze drży mu palec na spuście…

Chciałem krzyczeć, wyć i wzywać pomocy, ale nie było ratunku. W tym zatłoczonym mieście, w wielkim bloku pełnym zatroskanych ludzi siedziałem sam i sam ze sobą musiałem skończyć. Nikt mi nie pomoże… Przymknąłem oczy, bo nie mogłem znieść obrazu z przeciwka i wskazującym palcem wyczułem pierwszy opór spustu. Znałem tę broń. Dziewięciomilimetrową berettę. Pokonując pierwszy opór ściągnąłem spust o kilka milimetrów i poczułem

drugi opór, za którym nie było już nic… Za którym czaiła się pustka i wyzwolenie od wszelkich cierpień. Moje spieczone wargi wyszeptały ostatnie słowa pożegnania. Jeszcze jeden milimetr i nie będzie już nic, co mogłoby ranić, sprawiać ból, przed którym nie było ucieczki. Tak jak nie ma ucieczki przed sobą samym.

Gong u drzwi podziałał na mnie jak wstrząs elektryczny. cały podskoczyłem, a pistolet wypadł mi ze zdrętwiałej dłoni. Kiedy tak siedziałem zatraciłem poczucie czasu…

Zwlekłem się z fotela, kopnąłem berettę pod fotel i poczłapałem do drzwi. Obojętnie spojrzałem przez wizjer, lecz ani mój wzrok, ani wizjer nie były tego wieczora w dobrej formie. Otworzyłem drzwi…

Przede mną stał Filipski. Wysoki, szczupły mężczyzna po pięćdziesiątce w szarym eleganckim płaszczu. Jego twarz wydawała się młodsza, ale ja go znałem i wiedziałem, ile ma lat. Siwizny, która zastąpiła szatynowe włosy nie potrafił ukryć, lecz gładko wygolona twarz pozostawała bez wyrazu. Zresztą rzadko gościły tam jakiekolwiek emocje. Ot, lekka ironia lub kulawy półuśmieszek.

Pułkownik nie zwykł załatwiać spraw na korytarzu. Przywykł do szacunku, jakim go otaczano. Po prostu bez słowa wszedł do środka mijając mnie, nie bez wysiłku, w drzwiach.

- Witam, proszę wejść - mruknąłem zamykając drzwi.

Filipski bez słowa przeszedł krótki przedpokój i rozejrzał się po salonie. Nie było tam wiele do oglądania. Szafa, barek, stolik z telewizorem i stół w towarzystwie fotela oraz dwóch krzeseł. Mój gość skrzywił się ledwie zauważalnie i poczęstował mnie spojrzeniem pełnym nagany.

- Śmierdzi tu - skwitował krótko, po czym rozpiął płaszcz i bez zaproszenia usiadł w moim fotelu. Czekał. Potrafił to robić.

- Gospodyni wzięła wolne - nie wysilałem się specjalnie wymyślając to kłamstwo. Podszedłem do zakurzonego barku, skąd wziąłem w miarę czysty kieliszek, który postawiłem przed pułkownikiem. Nalałem wódki i usiadłem na trzeszczącym krześle pod oknem.

Filipski uniósł kieliszek i mruknął:

- Na zdrowie.

Wypił bez mrugnięcia całą zawartość i odstawił szkło. Poszedłem w jego ślady, ale mnie kosztowało to znacznie więcej. On mógł dużo wypić, ja nie.

- Niezły bajzel tu masz - powiedział rzeczowo rozglądając się ponownie po pokoju. Wyjął paczkę papierosów i poczęstował mnie. zapaliliśmy. Picie zawsze najlepiej nam szło pod papierosa.

- Marnie mieszkasz jak na oficera - dodał wykonując nieokreślony ruch papierosem. Popatrzył mi w oczy, jakby tam szukał mojego wyjaśnienia. Chyba zapomniał, że sam mnie uczył matowego wzroku bez wyrazu.

- W stanie spoczynku - odparłem powoli i ponownie napełniłem kieliszki. - Jestem na emeryturze.

- Ja też byłem na emeryturze - odpowiedział szybo. - Nigdy nie przypuszczałem, że okażesz się takim miękkim dupkiem. Chcesz strawić resztę życia na użalaniu się nad sobą?

- Co to komu przeszkadza? - zapytałem zaczepnie. - Co robię na emeryturze, to moja sprawa.

- Jeszcze i moja - nie dawał się zbić z pantałyku. Dmuchnął mi dymem w nozdrza. Mogłem ulec złudzeniu, ale wydawało mi się, że w jego szarych oczach dostrzegłem zaczepkę.

- Jesteś moim oficerem i nie lubię...

- Byłem twoim oficerem - wpadłem mu w słowa. - I wiem, że nie lubisz, jak marnuje się twoje rękodzieło, ale czasem nawet ty ponosisz porażki. Nie wszystko, co wyjdzie spod twojej ręki kończy się sukcesem. Czego ode mnie chcesz? Mów, nie mam zbyt dużo wolnego czasu.

- Właśnie widzę, że jesteś szalenie zajęty - zakpił. - Ale do rzeczy. Potrzebuję zastępcy, asystenta do poważnego przedsięwzięcia. To będzie trudne zadanie, ale może dać wiele satysfakcji.

- Mam w dupie satysfakcję - wywaliłem prosto. - Nie jestem zainteresowany.

- Potrzebuję straceńca, któremu niewiele pozostało do stracenia - puścił moje słowa mimo uszu. - Gotowego na wszystko dla ojczyzny.

- Chyba się rozpłaczę - ironizowałem. - To teraz grasz na takiej strunie? Dla której ojczyzny? Tej czy tamtej?

- Zawsze była dla mnie tylko jedna ojczyzna - Polska - odparł bez emocji. - Dlatego potrzebuję właśnie ciebie.

- Ale ja nie potrzebuję już twoich gierek - odpowiedziałem już trochę zezłoszczony. - Niczego już nie potrzebuję. Zostałem sam i teraz muszę się nasycić tą samotnością. Teraz, gdy już powiedziałeś, czego chcesz, wiesz, że tego nie dostaniesz! Możesz iść! Chcę zostać sam!

- Rozumiem - mruknął bynajmniej nie wyprowadzony z równowagi. - Gdybyś jednak zmienił zdanie...

- Nie zmienię! - odparłem szybko.

Skinął w milczeniu głową, a potem wyjął wizytówkę z wewnętrznej kieszeni marynarki i pióro ze złotą stalówką. Na odwrocie napisał kilka słów. Jak błędnie myślałem, miały to być numery jego zastrzeżonych telefonów, lecz tamtego wieczoru nie miałem do tego wszystkiego głowy.

- Może to jeszcze raz przemyśl na spokojnie - powiedział wstając. Wizytówkę niedbale rzucił na blat stołu. Założył płaszcz i ruszył do wyjścia.

- Dziękuję za poczęstunek - rzekł na pożegnanie. - Nie musisz mnie odprowadzać, znam

drogę.

Mruknąłem coś niewyraźnie pod nosem, a tymczasem on wyszedł cicho jak kot. Nawet na betonowych schodach nie słyszałem jego kroków. Zniknął jak widmo z przeszłości. Chwilę jeszcze siedziałem nieruchomo, po czym schyliłem się i podniosłem spod fotela mój pistolet. Wierzchem dłoni starłem z lakierowanej stali kłaki szarego kurzu. Kawałek ciężkiego metalu, który przez tyle lat tak doskonale dopasował się do mojej pełnej odcisków dłoni. Wiedziałem, że tego wieczora po raz drugi nie zbiorę sił, aby spróbować raz jeszcze... Nacisnąłem zwalniacz i wysunąłem magazynek. Pociągnąłem za suwadło i wyrzuciłem nabój z lufy, po czym odłożyłem pistolet na fotel.

Moje spojrzenie zatrzymało się na kartoniku od Filipskiego. Podniosłem go i przeczytałem drukowane litery: Pułkownik Filipski, adres i numer telefonu. Zdziwiłem się, że biuro nie mieściło się przy Rakowieckiej, ale na Koszykowej. A potem odruchowo zerknąłem na drugą stronę wizytówki zapisanej odręcznym pismem...

Raz jeszcze przeczytałem tekst czując, jak nabrzmiewają mi żyły na skroniach i pieką policzki. Cholerny pułkownik!

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

arktur, dodano 01.02.2017 10:12

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.